

Amerykanie budują mury



■ Rozmawiał Artur Domosławski 2006-11-25, ostatnia aktualizacja 2006-11-24 20:09:17.0

Gdyby z nielegalnych imigrantów chciano w USA uczynić przestępców, trzeba by zamknąć w więzieniach jakieś 12 mln ludzi - mówi amerykański historyk Al Camarillo*

Artur Domosławski: No i będziemy mieli nowy mur - na granicy amerykańsko-meksykańskiej. Budowla dość niezwykła w czasach, gdy kraje bogate domagają się od biednych, żeby otwierały swoje granice i rynki.

Al Camarillo: Dopóki ludzie w Meksyku i innych krajach Ameryki Łacińskiej nie będą w stanie nakarmić swoich dzieci, będą przyjeżdżać do USA. Nie zaradzi temu ani zamykanie nielegalnych imigrantów w więzieniach, ani mur na granicy, choćby najdłuższy i najwyższy. Imigracja to nie kaprys, lecz wielki dramat ludzki.

Jedyne, co może zatrzymać biednych z Meksyku, to pieniądze. Zamiast wydawać je na mur graniczny, można by zainwestować te pieniądze w ich kraju, np. w ramach traktatu NAFTA [o wolnym handlu między USA, Meksykiem i Kanadą] - w infrastrukturę, tworzenie nowych miejsc pracy.

Skutkiem wzniesienia muru będzie to, że imigranci, którzy pracują w USA sezonowo i co jakiś czas wracają do domu, a po kilku miesiącach znowu przyjeżdżają, przestaną to robić. Gdy raz wjadą do USA, zostaną na zawsze, bo powrót będzie nieporównanie droższy. Mur nie powstrzyma imigrantów. Chyba że ustawimy dziesiątki tysięcy żołnierzy i będziemy go pilnować tak, jak pilnowano muru berlińskiego.

Amerykański Kongres dyskutował też nad projektem ustawy przewidującej zamykanie do więzień nielegalnych imigrantów i ich pracodawców.

- To trzeba by zamknąć 11-12 mln ludzi. Najbardziej kuriozalny pomysł zgłosił republikański kongresman Thomas Tancredo z Kolorado. Postulował, by wszystkich nielegalnych imigrantów zamknąć w więzieniach. Zaniepokoił się wielcy farmerzy: "A kto będzie u nas pracował?". Tancredo uspokajał: "Najpierw ich zamknijemy, a potem jako więźniowie będą pracowali na farmach".

Niezły pomysł na obniżenie kosztów pracy, bo więzień dostaje jeszcze mniej niż nielegalny imigrant.

- To byłby rodzaj niewolnictwa.

Czy obawy przed latynoskimi imigrantami rodzą się w kręgach władzy, czy raczej na dole, wśród zwykłych obywateli?

- Nie ma jasnej odpowiedzi. Czy jest tak, że ludzie oglądają telewizję, w której pokazuje się imigrantów w negatywnym kontekście, i myślą: "Do diabła, za dużo ich tutaj"? Czy raczej ludzie, którzy widzą coraz więcej imigrantów w swojej okolicy, czują, że przybysze zabierają im pracę? A może przerzucają kanały radiowe i słysząc, że połowa jest po hiszpańsku, mówią: "Gdzie my żyjemy, to już inny kraj"? Z badań wiemy, że ponad 60 proc. Amerykanów uważa, że imigranci stanowią problem, nie wiemy jednak, jakie jest źródło tego przekonania.

Niech Pan pospekuluje.

- Wprawdzie od początku lat 90. w Kalifornii mówiło się o imigrantach z Meksyku jako o problemie, jednak nigdy wcześniej nie mówiono o nich w kontekście bezpieczeństwa wewnętrznego. Tę obłądną retorykę zrodziły dopiero zamachy z 11 września.

Czyżby Meksykanie mieli być terrorystami?

- Myśli się tak: skoro przez południową granicę płynie rzeka nielegalnej imigracji, to wraz z nią mogą "przepłynąć" terroryści z Bliskiego Wschodu. Obawy przed imigrantami z Meksyku mieszają się z lękiem przed terrorystami, choć jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Czy jednak decydującej roli nie odgrywa staromodny nacjonalizm i rasizm? Samuel Huntington twierdzi, że Latynosi zagrażają protestanckiej kulturze białej Ameryki. Nie asymilują się, dyskryminują białych i chcą odebrać USA Kalifornię.

- Huntington stawia bardzo poważne zarzuty, choć nie ma elementarnej wiedzy o temacie. Twierdzi np., że imigranci się nie asymilują. Otóż trzecie pokolenie imigrantów zazwyczaj przestaje mówić po hiszpańsku - tylko dla 4 proc. pozostaje on głównym językiem. Pod tym względem imigranci z Meksyku nie różnią się od Włochów czy Polaków.

Jest w historii antylatynoskiej coś niezrozumiałego. Byłem w winnicach w Sonomie [na północ od San Francisco]. Zarządcy plantacji mówili otwarcie, że zatrudniają nielegalnych imigrantów za psie grosze. Biała klasa średnia wie, że bez Latynosów nie będzie komu bawić dzieci, wywozić śmieci, naprawiać samochodów. O co więc chodzi?

- Jest taki film opowiadający o Ameryce, z której nagle zniknęli wszyscy Meksykanie. Nie ma komu umyć samochodu, posprzątać pokoju hotelowego, pracować w restauracji.

Konkurencja o pracę między Latynosami a białymi prawie nie istnieje. Biały zwykle nie podejmie pracy, którą nielegalny Latynos weźmie i będzie za nią dziękował losowi. Dlatego niechęci do Latynosów nie da się wyjaśnić racjonalnie. Nie zapominajmy, że przy całej otwartości Ameryki uczucia nacjonalistyczne są w niej bardzo silne.

Niechęć do imigrantów to też chyba nic nowego w historii USA.

- To jeden z paradoksów kraju, który składa się z samych imigrantów. W XVIII wieku lękano się Niemców, w XIX - Irlandczyków, później szykanowano Azjatów; w latach 20. nałożono ograniczenia na imigrantów z Europy. Otwarcie nastąpiło dopiero w latach 60. - w epoce walki o prawa obywatelskie i socjalne, o zmianę hierarchii społecznych.

W owych latach studiował Pan historię. Co się zmieniło od tego czasu?

- W Redwood City, miasteczku obok uniwersytetu Stanforda, gdzie żyje duża wspólnota meksykańska, 30 lat temu było może kilkanaście procent imigrantów z Meksyku. Dziś stanowią 40-45 proc. populacji. W supermarketach pracowali wtedy biali - dziś wszyscy to Meksykanie. Gdy widzą mnie, dobrze ubranego faceta z klasy średniej wyglądającego na Latynosa, odzywają się do mnie po hiszpańsku. 30 lat temu uznaliby raczej, że skoro wyglądam na kogoś z klasy średniej, to pewnie nie mówię w tym języku.

Proszę opowiedzieć o epoce, w której Pan dorastał.

- Urodziłem się wkrótce po zakończeniu II wojny światowej. Wychowałem się w Compton, środkowo-południowej dzielnicy Los Angeles.

Do lat 30. wschodnie Los Angeles było największym skupiskiem latynoskim w USA liczącym ok. 600 tys. mieszkańców. Dzieci z tej części miasta chodzili do szkół, w których stanowiły 99 proc. uczniów.

Natomiast Meksykanie zatrudnieni w rolnictwie, którzy mieszkali w dzielnicach Venice i Santa Monica, a także Meksykanie z Compton budujący kolej podmiejską, mieli zupełnie inne doświadczenia. Mieszkali w osobnych osiedlach, bo nie mogli osiedlać się w częściach miasta zamieszkałych przez białych. Chodziłem do szkoły podstawowej zdominowanej przez białych. Nas z rodzin meksykańskich była zaledwie garstka. Gdy byłem w trzeciej lub czwartej klasie, pojawiło się kilkoro dzieci Afroamerykanów.

Doświadczał Pan dyskryminacji?

- Nie takiej jak pokolenie moich rodziców. Mama chodziła do jedynego teatru w dzielnicy - i nie mogła usiąść w sektorze dla białych ani na balkonie. To nie było prawo, lecz obyczaj. Podobnie było z niektórymi sklepami, w których nie obsługiwano Meksykanów ani innych mniejszości. Żyliśmy w małym, wyizolowanym świecie, co jakoś chroniło nas, dzieci, przed różnymi nieprzyjemnościami. Dyskryminację odczułem dopiero jako nastolatek w czasie podróży do Teksasu, pod koniec lat 50. Odmawiano nam pokoi w hotelach, choć było wiele wolnych miejsc. To był szok.

Różnice etniczne grały rolę w relacjach z białymi rówieśnikami?

- W liceum podobała mi się dziewczyna z białej rodziny. Niestety, nie chciała się ze mną spotykać i sądziłem, że po prostu się jej nie podobam. Gdy spotkaliśmy się 15 lat później, wyznała mi, że spotkań ze mną zabroniła jej matka, bo nie chciała, żeby córka zadawała się z chłopakiem z rodziny meksykańskiej. Była to więc dyskryminacja skrywana, pełna niuansów. Czarni mieli na pewno gorzej od nas.

Jak traktowano mówienie po hiszpańsku w szkole?

- Moje rodzeństwo obrywało w skórę za mówienie po hiszpańsku. Do lat 50. nagminnie bito za to po rękach, w pupę, stawiano do kąta. W moich latach szkolnych też się to zdarzało, ale sam tego nie doświadczyłem. Zresztą dla mnie pierwszym językiem był angielski.

Jakimi zajęciami parali się Meksykanie w tamtych czasach?

- Byli robotnikami, często niewykwalifikowanymi, zrzeszonymi w związkach. Do lat 60. większość nie kończyła nawet liceum, często biedowała. W latach 60. pojawia się mała grupa Amerykanów meksykańskiego pochodzenia, którzy wybijają się na poziom klasy średniej - ale to śladowa ilość.

Nie mieliśmy poczucia, że żyjemy w świecie szans. Wielu z nas ciążyło ku gangom. W dzieciństwie miałem trzech przyjaciół, tylko ja żyję. Gdybym się stamtąd nie wyrwał, zginąłbym jak oni.

Ilu było Latynosów na uniwersytecie, gdy zaczynał Pan studia?

- Był rok 1966. Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles na blisko 5 tys. wykładowców było tylko trzech Amerykanów pochodzenia meksykańskiego. Na 28 tys. studentów było nas zaledwie 44, Afroamerykanów odrobinę więcej.

Częścią wielkiej rewolty lat 60. jest Chicano - ruch na rzecz praw Amerykanów pochodzenia latynoskiego. Jak

ten ruch wpłynął na Pański ogląd świata?

- Decydująco. Ruch Chicano dał mi poczucie, że dobrze jest być Amerykaninem meksykańskiego pochodzenia, pielęgnować własną tożsamość etniczną. Przywrócił mi dumę. W owym czasie profesorowie na uniwersytetach zaczęli mówić o historii różnych grup etnicznych. A ja poczułem się częścią tej historii. Zyskałem świadomość nierówności i dyskryminacji, a w ślad za tym - zmysł krytyczny. Tamten czas wyznaczył również moją drogę zawodową - zostałem historykiem Meksykanów w USA.

Wszystkie ruchy tamtego czasu - i Chicano, i ruch praw obywatelskich, i ruchy kobiece, i na rzecz państwa dobrobytu - protestowały przeciw nierównościom i niesprawiedliwościom. Nierówności sprawiały, że nie byliśmy częścią amerykańskiej demokracji. Jednym z celów było stworzenie więzi pomiędzy nami, ludźmi z tożsamością etniczną, a głównym nurtem społeczeństwa. Domagaliśmy się równych szans.

Pojawia się zarzut, że wielokulturowość przekształca społeczeństwo w zbiór rozmaitych separatyzmów etnicznych i religijnych. Jak Pan się zapatruje na tę krytykę?

- Myślę, że jest przerysowana. Rzeczywiście, pod koniec lat 60. ruchy etniczne były młode i parły w stronę separatyzmów. Ale trwało to krótko. W dłuższej perspektywie ich celem było nie wykluczenie, lecz włączenie się do głównego nurtu społeczeństwa, pragnienie bycie uznanym, równy dostęp do instytucji publicznych. Podkreślanie odrębności sprawiło natomiast, że ludzie ze wspólnot etnicznych mogli i pozbyć się lęków.

Wielokulturowość - jak ją pojmuję - jest chęcią pielęgnowania tradycji swojego środowiska, własnego stylu życia i kultury, lecz nie osobno, tylko w ramach zróżnicowanego społeczeństwa i demokracji amerykańskiej.

Gdy ostatnio pojawiły się propozycje kryminalizowania nielegalnych imigrantów, przez wielkie miasta USA przeszły marsze protestu. Czy jesteśmy świadkami narodzin nowego ruchu na rzecz praw imigrantów, podobnego do ruchu Chicano?

- Inny jest kontekst, choć w latach 60. część ruchu Chicano też miała na sztandarach prawa imigrantów i postulat otwarcia granic. Wtedy jednak chodziło przede wszystkim o równość szans, o sprawiedliwość i prawa - o to wszystko, co należy do wielkich wątków historii amerykańskiej.

Czy dziś mamy do czynienia z nowym ruchem na rzecz praw obywatelskich? Wszystko będzie zależało od pokolenia młodych. Od tego, z jakim doświadczeniem, wyniesionym ze szkoły i wspólnoty lokalnej, wejdzie ono w dorosłe życie? Czy będzie miało równe szanse na rynku pracy? Jeśli nie, pokolenie to może stać się awangardą nowego ruchu. Również w latach 60. przeciwko wykluczeniu protestowały dzieci imigrantów - licealiści i studenci. To dzieci zmieniły Amerykę.

Czy jednak nie grozi nam zderzenie Latynosów z Afroamerykanami, których niepokoi wzbierająca fala latynoska?

- Mamy tu różne elementy. Jednym jest obawa przed konkurentami na rynku pracy - bez względu na to, czy rzeczywiście członkowie obu wspólnot rywalizują o te same miejsca pracy. Innym jest irytacja wywołana porównywaniem protestów imigrantów do ruchu praw obywatelskich z lat 60. Czarnych przywieziono tu na statkach handlarzy niewolników. Latynosi przyjeżdżają dobrowolnie. To fundamentalna różnica.

Ale najważniejsze jest to, że w 2002 r. po raz pierwszy w historii USA spis ludności wykazał, że Afroamerykanie przestali być największą mniejszością. Wyprzedzili ich właśnie Latynosi. Wśród wielu Afroamerykanów wywołało to poczucie, które trudno nazwać - jak gdyby gorycz, poczucie, że teraz będą mniej ważni jako wspólnota etniczna.

Sama wspólnota latynoska nie jest monolitem. W latach 90. w Kalifornii spora część Latynosów głosowała za stanowym prawem odmowy usług publicznych dla nielegalnych imigrantów, a także przeciw edukacji dwujęzycznej. W przygranicznym El Paso, w którym Latynosi stanowią 70 proc. ludności, na bohatera wyrósł pewien dowódca patroli granicznych, który zasłynął z represyjnej polityki wobec nielegalnych imigrantów. Czy Pan tłumaczy te objawy braku solidarności wewnątrz wspólnoty latynoskiej?

- To nie jest latynoska specyfika. Pierwsza fala imigrantów z północnych Włoch okazywała niechęć późniejszym imigrantom z południa i Sycylii, uważając ich za ludzi o niższym statusie, bo to byli chłopci. Tak samo zachowywali się imigranci z Niemiec wobec późniejszej imigracji niemieckich Żydów. Tak zwykle jest, że ci, którzy już się zakorzenili, traktują nowych przybyszów jako konkurencję w wyścigu po pracę. Jako tych, którzy zaniżają standardy pracy i płacy. Starsi imigranci z Meksyku mieszkający w USA od 30 i więcej lat boją się, że wskutek masowego napływu nowych imigrantów będą traktowani tak samo jak oni. A oni mieszkają tu legalnie od dawna i czują się prawie Amerykanami. Tyle wyjaśnienia. Jeśli zaś chodzi o ocenę: tak, zgadzam się, to brak solidarności.

Jak głosują Latynosi w Ameryce?

- Inaczej niż Afroamerykanie, których 90 proc. głosuje na Demokratów. Kubańczycy sympatyzują zwykle z konserwatywnymi Republikanami. Portorykańczycy głosują tak jak Afroamerykanie. Meksykanie w większości głosują na Demokratów, jednak Republikanie zdobywają wśród nich coraz silniejsze poparcie. To zmienia się także w zależności od stanu - np. w Teksasie Latynosi są bardziej konserwatywni niż w Kalifornii.

Czy możemy sobie wyobrazić otwarcie granicy amerykańskiej? W końcu żyjemy w czasach globalizacji.

Wolnemu przepływowi kapitału powinien towarzyszyć swobodny przepływ siły roboczej.

- Jak już mówiłem, uczucia nacjonalistyczne są wśród Amerykanów bardzo silne. Dodajmy do tego przywiązanie do protekcjonizmu - to inni mają się otwierać, my się chronimy. Dalej: poczucie amerykańskiej wyjątkowości obecne w całej historii USA. Te paradygmaty są wciąż żywe w amerykańskiej polityce, refleksji, samoświadomości. Dlatego nie sądzę, by w dającej się przewidzieć przyszłości otwarto granice. Zmierzamy, niestety, w stronę przeciwną - budowania murów.

Ma Pan jakiś pomysł, który byłby i racjonalny, i realistyczny?

- Napływ nielegalnych imigrantów mógłby być regulowany przez rynek pracy. Zapotrzebowanie na pracę przybyszów jest stałe, nowi imigranci powinni więc dostawać prawo do pracy i tymczasowego pobytu. To oczywiście nie to samo co otwarcie granicy - imigranci musieliby poddawać się rozmaitym procedurom, współpracować z władzami imigracyjnymi. Zapewne jakaś ich część nie dostałaby pozwolenia, ale choć częściowo można by uregulować nielegalne zatrudnienie. Wszyscy by zyskali: imigranci - pracę, państwo - podatki, pracodawcy - tańszą siłą roboczą. Ale czy to dziś możliwe? Bardzo wątpię. 1

*Al Camarillo - profesor Uniwersytetu Stanforda, historyk, jeden z pionierów badań nad wspólnotami latynoskimi w USA

Latynosi wierzą w Amerykę

Latynosi są dziś największą mniejszością etniczną w USA - stanowią 13,4 proc. ludności (około 40 mln). W grupie tej najliczniejsi są imigranci z Meksyku (67 proc.). Mężczyźni pracują w usługach, na budowach i w przemyśle wydobywczym. Kobiety - w biurach jako sekretarki i w działach sprzedaży. W 2025 r. co piąty Amerykanin będzie Latynosem, w 2050 r. - co czwarty.

Dwa lata temu politolog Samuel Huntington ogłosił pamflet "The Hispanic Challenge", którego tezy rozwinął potem w książce "Who Are We?". Twierdził, że "nieustający napływ imigrantów latynoskich grozi podziałem USA", gdyż "Meksykanie i inni Latynosi nie asymilują się do głównego nurtu kultury amerykańskiej, przeciwnie - formują własne enklawy polityczne i językowe od Los Angeles po Miami, odrzucają też wartości angloprotestanckie, które ukształtowały ducha Ameryki" - m.in. indywidualizm i etos pracy. Co więcej - tam, gdzie są grupą dominującą, dyskryminują białych.

Autor atakował liberalne elity USA za "rozmywanie" owej angloprotestanckiej kultury i zastępowanie jej ideałami wielokulturowości. Te ostatnie - w jego opinii - prowadzą do wzrostu liczby ludzi o "podwójnej narodowości" i "podwójnej lojalności". Huntington wyprowadzał stąd wniosek: "Kontynuacja tej wielkiej imigracji (bez udoskonalonej asymilacji) może podzielić USA na kraj dwóch języków i dwóch kultur". Przewidywał odrodzenie się natywizmu - amerykańskiej odmiany nacjonalizmu: "Ruch białych natywidów jest możliwą i wiarygodną odpowiedzią na te trendy w sytuacji poważnego zastoju gospodarczego i wielce prawdopodobnego zubożenia [Amerykanów]".

Polemiści od lewa do prawa (m.in. pisarz Carlos Fuentes i eseista Enrique Krauze) zarzucili Huntingtonowi zakamuflowany rasizm. Wyrażali zdziwienie reaktywowaniem w wielokulturowej Ameryce ana-chronicznego, podszytego ksenofobią pomysłu WASP - białej anglosaksońskiej kultury protestanckiej.

Liderzy wspólnot latynoskich przypominali twarde fakty - m.in. badania, które dowodzą, że ponad 96 proc. Latynosów uważa znajomość angielskiego za konieczną, by osiągnąć sukces w USA. Przytaczali też przykłady wysiłków wspólnot latynoskich na rzecz poprawy jakości szkół, budowania tanich mieszkań i ośrodków zdrowia. Jeden z polemistów pisał: "Tam, gdzie Huntington widzi zagrożenia dla swojego angloprotestanckiego ideału, my widzimy rodziny, których energia i zapał, by stać się Amerykanami, prowadzą do odrodzenia naszego narodu i jego najświętszych instytucji, jak to czynili przed nami Irlandczycy, Włosi i inni imigranci. Dzisiejsi imigranci, ich dzieci i wnuki wierzą w Amerykę".

Książkę Huntingtona z entuzjazmem powitała natomiast ultrapravicą, która krytykowała nawet prezydenta Busha za propozycje amnestii dla kilku milionów nielegalnych imigrantów. "Nie widać nikogo ani niczego, co mogłoby powstrzymać inwazję na USA, zanim nasz narodowy charakter zostanie odmieniony na zawsze" - pisał Pat Buchanan. Izba Reprezentantów przyjęła ustawę, która z nielegalnego pobytu w USA czyni przestępstwo karane więzieniem; nakłada też kary na pracodawców zatrudniających nielegalnych imigrantów i organizacje niosące im pomoc. W odpowiedzi wiosną tego roku w amerykańskich miastach odbyły się wielkie marsze protestacyjne. Tymczasem Kongres przegłosował decyzję o budowie wzdłuż granicy amerykańsko-meksykańskiej muru długości 1120 km.

Artur Domosławski

Rozmawiał Artur Domosławski